

ZBIGNIEW
BENEDYKTOWICZ

Z Salvatorskiej na Plac Zbawiciela. Historia jednego obrazu

1.

O obrazie sporo opowiedział już pan Tomasz Pruszek. Cóż mógłbym tu jeszcze dodać? Piotr Borowski w dotychczasowych spotkaniach zawsze podkreślał ten kontekst warszawski, miasta zniszczonego, ogolconego, pytając nieustannie, jak te pokazywane tutaj obrazy ocalały, przetrwały, albo skąd się w ogóle tu wzięły. Zacznę, więc od tego. Chociaż, od razu na wstępie muszę zaznaczyć, że moja wypowiedź nie będzie dotyczyła tylko tego jednego, konkretnego obrazu, ale może bardziej tego, w jaki sposób obraz mojego pradziadka, obraz jego postaci, wiedza o nim dociera-



Ludomir Benedyktowicz z synami Tadeuszem
i Zbigniewem (stoi).

ła do mnie stopniowo, powoli, długo i coś – tu muszę wyznać z pewnym wstydem – dosyć późno.

Ten portret dziecka, *chłopczyka, chłopca, synka* – Tadeusza Benedyktowicza zanim trafił do Warszawy wisiał w krakowskim mieszkaniu mego dziadka Zbigniewa przy ul. Salvatorskiej pośród innych obrazów Ludomira. (Salwatorska 5 m. 6, to był łatwy adres do zapamiętania, zwłaszcza wtedy, kiedy się pisało listy). Zachowało się zdjęcie, na którym widać siedzącego Ludomira z synami, obok niego właśnie ten sportretowany, jako dziecko, a potem – jak już słyszeliśmy – przedwcześnie zmarły syn Tadeusz, za nimi stoi mój dziadek Zbigniew. To pewnie po nim odziedziczyłem, otrzymałem swoje imię. Nie poznałem go, zmarł w 1946, ja się urodziłem w Warszawie, cztery lata później. Ulica Salvatorska na Zwierzyńcu w Krakowie, to był dom rodzinny mojego ojca Witolda, który tam mieszkał i wychowywał się ze swoim rodzeństwem, bratem Januszem i siostrą Teresą („ciotką Renią”). – Mieszkanie ich rodziców Klotyldy i Zbigniewa.

Do Krakowa, na Salvatorską, jeździliśmy na wakacje do babci Klotyldy i stryja Janusza („wują Tarabuka”) nas była trójka warszawiaków: ja i moi dwaj bracia o oryginalnych i nieczęsto wtedy spotykanych i używanych imionach: Miłosz i Olgierd (Krzysztof), i ich była trójka – krakowskich kuzynów: Mirosław (Jacek), Rafał i Leszek. Nie wiem jak u nich, ale u nas w Warszawie, nie pamiętam, żeby dużo się o pradziadku Ludomirze mówiło, opowiadało o nim, jego niezwykłym życiu i historii. Nie wiem, czy była w tym jakaś specjalnie, tak, jak jemu właściwa – o czym pisał Tymon Terlecki – tak samo zachowywana, jak on ją zachowywał w tej sprawie, dyskretna. Nie wiem, nie pamiętam, może nam i o nim mówiono, i opowiadano, (pewnie tak), przecież, tak u nas w Warszawie, jak tam w Krakowie, na Salvatorskiej, wisiały jego obrazy. Musieli pewnie coś o tym mówić. Ale i nawet, jeśli mówili, to przecież wtedy w Krakowie, dla nas z pewnością ważniejsze były niedaleko położone błonia, na których ganiał się za piłką i mijany po drodze, gdy szło się na nie, stojący tuż za domem stadion Cracovii, jeszcze wtedy z drewnianym torem do wyścigów kolarskich, na którym rozgrywano szalone zawody. Kopiec Kościuszki, Wawel z grobami królewskimi, smocza jama, wieża mariacka, ołtarz Wita Stwosza, kościoły Franciszkanów z witrażami Wyspiańskiego i Dominikanów, do których chodziła babcia Klotylda, i w pobliżu – jej ulubiona kawiarnia „Sportowa”, gdzie zapraszała nas na „krachlę” z kremówką. Planty, Sukiennice i Rynek, i sklepiki, w których można było kupić nie tylko oranżadę w proszku, ale i prawdziwą gumę do żucia, czy lody „u Maurizia”, do którego chodziliśmy z ojcem, mamą i babcią na koniec wakacji. Więc, mogę jedynie powiedzieć, że nie było jakiegoś specjalnie przesadnie uprawianego kultu rodzinnego wokół Ludomira. Kto chciał, ten mógł o nim wiedzieć



Ludomir Benedyktowicz, *Nad mogiłą powstańca*, 1875 (?), olej, płótno, fot. archiwum rodzinne; obecnie obraz znajduje się we Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki.

więcej. Dlatego też i pewnie więcej o Ludomirze usłyszałem dość późno, w wieku już licealnym, niejako z zewnątrz. Miałem nawet o to z początku ciche, niewypowiedziane pretensje (jakże nieusprawiedliwione i nieuzasadnione) do rodziców, do ojca, że nic o tym nie wiedziałem wcześniej; „dlaczego mi o tym nie mówili?“, że „dopiero teraz się o tym dowiaduję i to, w jakich okolicznościach!“. A było to doświadczenie trochę traumatyczne, byłem w klasie przedmaturalnej, w Liceum Batorego. Podczas lekcji chemii prowadzonej przez naszą, wyśmienitą, jak się o niej mówiło „przedwojenną“ nauczycielkę panią Ewę Domaszewską, odbywała się wizytacja. I o ile z chemii, mimo wysiłków tej znakomitej nauczycielki niewiele więcej mi wiedzy pozostało ponad powszechnie znane: „pamiętaj chemiku młody, wlewaj zawsze kwas do wody“, to tamtą lekcję zapamiętałem na dobre. Już teraz dokładnie nie wiem czy po odczytaniu listy, czy po przejrzeniu dziennika, jedna ze starszych pań wizytatorek, w podobnym wieku do naszej nauczycielki, naradziwszy się z nią wywołała moje nazwisko i poprosiła, żebym wstał, spodziewałem się najgorszego a ona zaczęła mnie przepytwać z... historii Ludomira. Na szczęście widząc moje zażenowanie i zakłopotanie w tej kwestii, i niepewną minę, sama rozwinęła temat. Byłem tym wszystkim tak oszołomiony, że nawet nie zapamiętałem, nie śmiałem zapytać skąd o tym wszystkim wiedziała. Jak się domyślam najprawdopodobniej była to pani z rodziny Nepomuceny Sarnowiczowej,

tej zacnej niewiasty, która uratowała mojego pradziadka, lub ktoś z okolic Broku, czy Ostrowi Mazowieckiej, kto lepiej znał ode mnie opowieść o tej potyczce i losach pradziadka. Ja jedynie wtedy mogłem potwierdzić, że rodzina moja (ojciec) jest z Krakowa, że są u nas w domu obrazy Ludomira...

2.

Od tamtej pory zaczyna się dopiero moja świadoma i głębsza wiedza o nim. Zaczyna się z wolna składać pełniejszy jego obraz. Zbierany z rodzinnych rozmów, z lektur, z poszukiwań, z wycieczek na Cytadelę, do Broku, do Siedlec, gdzie, co roku w miejscowym Muzeum Okręgowym, przyznawana jest i wręczana nagroda jego imienia (ustanowiona w 1987.) dla zasłużonych dla tego regionu artystów, pisarzy ludzi kultury i sztuki, działaczy społecznych. Powstawał w ten sposób obraz pradziadka zbierany – potem, już podczas studiów – z rozproszonych zapisów o nim, relacji innych, takich jak, ten czytany tu dzisiaj fragment listów Stefana Żeromskiego, który podczas swego pobytu w Krakowie mieszkał u Ludomira. Obraz składany z podobnych świadectw i anegdot, jak ta słynna, którą przytaczał w swojej książce o Traugucie Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, opisując, jak już będący w podeszłym wieku Wojciech Gerson (nauczyciel Ludomira) na jednej z wystaw, stojąc długo przed płótnem swego okaleczonego ucznia, zwracając się do stojącego obok Sienkiewicza miał powiedzieć: „ja bym



Ludomir Benedyktowicz, *Zbieranie fiołków*. Fot. z archiwum rodzinnego.

wszystkim warszawskim malarzom łapy poobcinał, żeby tylko malowali, jak on.”. Sam Sienkiewicz pisał zresztą z wielką sympatią o Ludomirze w liście do siostry: „tego bezrękiego lubię.”¹ To były już wtedy dla naszego pokolenia anegdoty dobrze nam znane, przekazywane rodzinnie.

Tak więc, po książkach Stanisława Strumpha-Wotkiewicza, czy Stefana Kieniewicza o Powstaniu Styczniowym, ten obraz Ludomira, w latach siedemdziesiątych i pod ich koniec, zaczął się wypełniać. Wcześniej, w 1967 ukazała się *Akacja* Jana Paradow-

skiego, ale nie wiem czy ja na nią wpadłem od razu, czy parę lat później ją poznałem, a którą tu dziś dla państwa przeczytała Joanna Szczepkowska i chciałbym jej jak najserdeczniej za to podziękować, że znalazła dla nas czas, że zgodziła się przeczytać dla nas to opowiadanie swojego dziadka. Bo któż mógłby to zrobić lepiej od niej?! (Nie wiem, czy wszyscy wiedzą, że pani Joanna Szczepkowska jest wnuczką Mistrza Jana Parandowskiego). Bardzo, bardzo pani dziękuję!

Tak więc, jak państwo widzą, ja sam bardzo późno dojrzywałem do poznawania tego Ludomira. Ale nie zawsze możliwe jest to „wcześniej”. W 1987 roku, na przykład, trafiłem na wydany dopiero wtedy, świeży reprint, jaki ukazał się w londyńskim „Pulsie” – *Kraj lat dziecińczych* – krążący w Polsce w drugim obiegu (do dziś ta książka skatalogowana jest w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego i dostępna w jednym egzemplarzu, spoczywa w zbiorze *Cimeliów*). Pierwsze jej wydanie przygotowywane z myślą, by służyła „ku pokrzepieniu serc” żołnierzom walczącym na frontach drugiej wojny światowej, ukazało się w Londynie w 1942 roku. Była to typowa składanka tekstów różnych autorów, piszących, jakbyśmy to dziś powiedzieli, o swoich „małych ojczyznach”, stronach rodzinnych, stronach swojej młodości. (Bardzo ciekawy, obszerny i wyczerpujący wstęp o idei tej książki i o tym, jak ona powstawała, napisała w 87. roku do tego drugiego wydania Maria Danielewicz-Zielińska). Wystarczy wspomnieć, że w *Kraju lat dziecińczych* o Krakowie pisali: Zdzisław Czermański, Karol Estreicher, Zygmunt Nowakowski, o Inflantach – (*Wspomnienia z Inflant*) Kazimiera Iłakowiczówna, O Galicji – Marian Kukiel, o Petersburgu – Stanisław Mackiewicz (*Futrzanie i smaczne*), o Kijowie – Karol Zbyszew-



Maria Skalska, żona Ludomira pozująca do obrazu *Zbieranie fiołków*. Fot. z archiwum rodzinnego.

ski, O Nadwożu – Maria Kuncewiczowa (*Powrót*), o Wołyniu – Ksawery Pruszyński, o okolicach i dolinie Dniestru – Jerzy Stempowski, i wielu innych wybitnych autorów. Tam znalazłem, odkryłem ten tekst Tymona Terleckiego – piszącego o Lwowie swojej młodości i o spotkaniu z Ludomirem (*Z innego brzegu*) – mało chyba kto, nawet w rodzinie, wtedy o tym tekście wiedział.

Wcześniej jeszcze, tuż przed powstaniem Solidarności w 80. roku, będąc na stypendium Goethe Institut, na kursie języka niemieckiego, w małej miejscowości nad jeziorem Bodeńskim (Radolfzell), udało mi się stamtąd dotrzeć do Monachium, zajrzeć do Akademii Sztuki i iść po tych samych schodach, śladami pradziadka Ludomira. W sekretariacie otrzymałem kserokopie jego wpisów na zajęcia i dokumentów o przyjęciu go do Akademii bez żadnego problemu, i niemal od ręki, całkiem gratis. Wtedy, co za gratka! Zwłaszcza, w porównaniu z pamiętną wówczas, związaną z tym mitręgą wystawiania w punkcie xero, w kolejce na ul. Rutkowskiego w Warszawie (dawniej – Chmielna, dziś zresztą tak samo jak dawniej), gdzie nie wystarczyło zapłacić, żeby zrobić kopie niezbędnych i wymaganych do otrzymania paszportu kilku stroniczek zaświadczeń, czy czegośkolwiek, co chciałoby się kserować. Trzeba było najpierw wypełnić ręcznie i złożyć odpowiedni formularz wpisując wszystkie swoje dane z dowodu osobistego, które następnie były dość skrupulatnie sprawdzane. Niezależnie od tego ile stron kopii chciało się zrobić. Więc po powrocie odbijałem tam dalej, dla rodziny te swoje znaleziska przywiezione z „Mnichowa”.

W ten sposób, stopniowo, moja wiedza o Ludomirze stawała się coraz bardziej gruntowna, ale nie miało to cech jakiegoś szaleńczego kolekcjonerstwa, czy zbierania. To samo napływało, wpadało w ręce. Bardziej na zasadzie szczęśliwego trafu i przypadku. Nowe opowieści, nowe szczegóły i nowe anegdoty same pchały się, żeby o nich pamiętać. Prawdziwym strażnikiem pamięci był stryj Janusz z Salwatorskiej, który stworzył cały album – archiwum, gromadził starannie dokumenty, fotografie, zajmował się ich konserwacją, zbierał publikacje o Ludomirze, wspomnienia, bieżące wycinki prasowe z gazet krakowskich. „Wuj” Janusz, wnuk Ludomira sam był malarzem, grafikiem, pracował w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, uczył, specjalizował się w grafice książkowej, zajmował się też medalierstwem, ekslibrisem, typografią, reklamą (był m.in. autorem znanego wtedy i popularnego znaku Biura Podróży Orbisu, w kształcie globusa). Dziś tym archiwum opiekuje się najmłodszy jego syn – Leszek. Żałuję, że nie mógł przyjechać na to spotkanie, ale ma dziś dyżur na lotnisku w Balicach, gdzie pracuje, jako specjalista wojskowy, radiowiec. Wiele fotografii, skanów prezento-

wanych tutaj pochodzi z tych zbiorów. I wdzięczny jestem jemu za ich udostępnienie.

3.

Drugim depozytariuszem pamięci o Ludomirze (mówię o najbliższym kręgu, bo przecież trzeba pamiętać, że Ludomir cieszył się bardzo liczną, wielodzietną rodziną) był – nasz ojciec, tej naszej „trójki warszawskiej” – Witold, brat Janusza. On też prowadził swoje prywatne archiwum, (ale o tym za chwilę). – Wracam teraz do samego obrazu: portretu chłopczyka. Pamiętam, że ten obraz się pojawił u nas w Warszawie w naszym mieszkaniu, przy placu Zbawiciela bardzo późno, przyjechał z Salwatorskiej, gdzieś dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, może nawet w osiemdziesiątych. Po prostu obaj bracia postanowili wymienić się obrazami. Tam poszedł jakiś inny, pewnie sosny, a ten przybył tutaj i zamieszkał z nami w Warszawie. Myślę, że mój ojciec Witold musiał być jakoś do niego szczególnie przywiązany. Musiał odczuwać do tego obrazka jakiś specjalny sentyment. Bo przecież w Warszawie, do której się przeprowadził z Krakowa po wojnie w 1947-48 roku (mój brat Olgierd jeszcze zdążył się urodzić w 48. w Krakowie), był już bardzo długo. Więc, przez jakieś trzydzieści, czterdzieści lat cierpliwie czekał, żeby ten obraz przeprowadzić, sprowadzić na plac Zbawiciela. „No, bo, przecież to jasne i oczywiste – jak mówi moja bratowa Elżbieta – że jak się już przeprowadzał z Krakowa, z Salwatorskiej do Warszawy, to nie mógł gdzie indziej, jak tylko na Plac Zbawiciela.”

Z Warszawą ojciec się związał jeszcze w czasie okupacji, tu poznał swoją przyszłą żonę, warszawiankę – Irenę urodzoną w 1920 w Krasnym Siole, ZSRR – pamiętam ten wpis w dowodzie matki, który nas tak intrygował i musiał robić niezłe wrażenie w socjalistycznej, powojennej Polsce, w PRL (dawniej, to przecież było Carskie Sioło, mama, jako niemowlę ochrzczone w rzymsko-katolickiej parafii św. Katarzyny w Petersburgu przy Newskim Prospekcie, z rodzicami, którzy „repatriowali się” do Polski, uchodząc w ostatniej chwili przed wybuchem wojny polsko – bolszewickiej, zamieszkali razem z białą emigracją w Milanówku; on Polak z rodziny syberyjskiego zesłańca z 1830 roku, ona Rosjanka, z porządnej rosyjskiej rodziny, znakomita skrzypaczka, zaprzyjaźniona z Fiodorem Szalapinem – wyjść za Polaka, cóż za okropny mezalians! – W Polsce grała koncerty w radio, w filharmonii i w Szkole języka angielskiego u Metodystów na Placu Zbawiciela. Z Milanówka parę lat przed wojną przenieśli się do Warszawy, (matka zdawała maturę w 1939 roku, zamieszkali w domu na ul. Chocimskiej, którego już nie ma, obok po wojnie postawiono kino Moskwa, zresztą też już go nie ma. Ale to już temat na inną historię...).

Mój ojciec, mieszkając jeszcze w Krakowie, związał się z Kościołem Metodystów. Na placu Zbawiciela

w Warszawie, w kaplicy Metodystów, gdzie uczęszczał do Szkoły Biblijnej – podziemnego seminarium ewangelickiego – poznał moją matkę. W 43. roku wzięli metodystyczny ślub. Kiedy ojciec został pastorem, najpierw prowadził zbor na ul. Wiślniej w Krakowie, potem po przejściu przez obóz w Płaszowie i uratowaniu się ojca z Płaszowa, po wojnie, rodzice wrócili do Warszawy, a on został pastorem zboru Dobrego Pasterza w Warszawie, w tej samej kaplicy, gdzie brali ślub, mieszczącej się w „domu Metodystów”, budynku znanym powszechnie z działającej w nim słynnej, także po wojnie, szkoły języka angielskiego. Tu, w Warszawie ukończył studia w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej (dawnym Wydziale Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego). Po doktoracie z teologii ewangelickiej, obok sprawowania funkcji pastora pracował w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, jako sekretarz naukowy za dyrekcji Jana Baculewskiego, współpracując z nim m.in. przy organizowaniu znaczących wystaw o Sienkiewiczu i Lelewelu. Od 1967 (po habilitacji) objął Katedrę Teologii Systematycznej w ChAT, został profesorem, przez wiele lat, jako Superintendent Naczelny kierował Kościołem Metodystów w Polsce. Wykładał teologię ewangelicką i etykę (wcześniej w Szwajcarii zetknął się z Karlem Barthem, uczestniczył w jego seminarium, słuchał jego wykładów, co potem zaowocowało wieloma pracami o jego „teologii dialektycznej”, o Rudolffie Bultmanie, Emilu Brunnerze, Dietrichu Bonhoefferze – największych postaciach teologii ewangelickiej XX w.). Przewodniczył ekumenicznemu zespołowi tłumaczy pracujących nad przekładami Biblii przy Brytyjskim i Zagranicznym Towarzystwie Biblijnym w Warszawie (wtedy jeszcze na Nowym Świecie). Należał do kręgu najwybitniejszych teologów ewangelickich w Polsce. Był działaczem ekumenicznym. Dlatego o tym wszystkim wspominam i mówię, bo ten wątek protestancki, ewangelicki już się tutaj pojawił podczas poprzedniego spotkania na Lubelskiej wokół obrazu Władysława Wankiego, kiedy pani Joanna Wolfram mówiła o tradycji i środowisku ewangelików w Warszawie, z której wywodziły się i z jakim były związane rodziny Wankiech i Wolframów. Nawet wypytywałem panią Joannę – w nadziei, że da się uzupełnić ten wątek tajemnych, tajemniczych, związków, jakie już się pojawiały na spotkaniach organizowanych przez Piotra Borowskiego, pomiędzy ludźmi i prezentowanymi tu obrazami – o to, czy to nie z jej rodziny pochodził, nie był z nią związany ks. profesor Karol Wolfram, teolog, biblista, który wykładał w tej zakonspirowanej podczas wojny Szkole Biblijnej u Metodystów, do której uczęszczał mój ojciec, i który przez jakiś czas nawet mieszkał w tym samym domu na Placu Zbawiciela.

Ale czy nie wystarczy już tu i sam ten związek, że Wankie – tak, jak przed nim i Ludomir – byli ucznia-

mi Wojciecha Gersona, należeli do tej samej grupy „monachijczyków”, polskich artystów malarzy, którzy studiowali w Monachium (Wankie wyjechał do Monachium czternaście lat później), że obaj studiowali u Matejki w Krakowie?

Ale mówię o tym także, dlatego, że jest tu pośród nas dzisiaj obecny pastor zboru Dobrego Pasterza, ks. Zbigniew Kamiński z żoną Joanną – cieszę się i dziękuję, żeście tutaj przyszli – objął on prowadzenie tego zboru po moim ojcu, (przedtem prowadził także zbor na Wiślniej w Krakowie), a z którym mieszkamy teraz po sąsiedzku na placu Zbawiciela, i który nieraz odwołując się do ojca, rozmawiając z nim, musiał widzieć ten obraz, i zna dobrze prezentowany tutaj, namalowany przez Ludomira portret chłopca, który od lat osiemdziesiątych wisiał w „gabiniecie” mojego ojca, w naszym mieszkaniu, darzony przez niego jakimś szczególnym sentymentem.

Po śmierci mojego ojca Witolda, – (zmarł w 1997 i został pochowany na cmentarzu ewangelicko-augsburskim, przy ul. Młynarskiej, w Warszawie, na tym samym cmentarzu, gdzie pochowany został i gdzie znajduje się grób Wojciecha Gersona) – porządkując jego papiery i archiwum znalazłem dwa nieznane mi wcześniej pudełka pełne fiszek, notatek, wypisów robionych przez niego pewnie jeszcze podczas jego pracy w BUW-ie.

Wspominam o tym, żeby pokazać jak nasza wiedza, o tym czy innym obrazie (jak w tym przypadku moja o Ludomirze) może się jeszcze uzupełniać, może rozwijać się w czasie i z czasem dopełniać. Że historia „jednego obrazu” jest historią tych dziwnych, tajemnych związków pomiędzy ludźmi i obrazami, polega także nie tylko na tym, kiedy jakiś obraz powstał, kiedy został namalowany, ale zawiera się także w jego dalszych losach, należy i do tych, którzy na niego patrzyli i którzy byli jakoś z nim związani. Także i to dzisiejsze nasze spotkanie w Studium Teatralnym u Piotra Borowskiego będzie już na zawsze należało, wpisze się, (jak w przypadku poprzednich) do historii tego „jednego” obrazu.

Dla mnie takim tajemnym związkiem, jest na przykład to, co ktoś mógłby uznać za nieprawdopodobne i wymyślone, gdyby nie było prawdziwe, że urodzony gdzieś daleko, zupełnie w innym miejscu, wnuk wyróżnianego przez swego nauczyciela – okaleczonego malarza i ucznia, – jeśli wierzyć tej anegdocie, o czym miał mówić na wystawie Gerson do Sienkiewicza – będzie ewangelikiem i znajdzie spoczynek na tym samym cmentarzu. Dla mnie jest to prawdziwe, bo ilekroć „idę do ojca” na Młynarską, zawsze o tym myślę, że są „tam” razem.

Mówię także o tym, bo mało się pamięta, że Wojciech Gerson, nauczyciel Ludomira i całej plejady wybitnych polskich malarzy, nauczyciel Józefa Chełmońskiego, Leona Wyczółkowskiego, Maksymiliana

Gieryskiego, Adama Chmielowskiego (brata Alberta), Józefa Pankiewicza, Wacława Chodkowskiego, Alfreda Wierusz-Kowalskiego, Władysława Wankiego i wielu innych, współzałożyciel Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, człowiek o takich zasługach dla kultury polskiej w dziedzinie malarstwa, jakimi dla języka polskiego był Bogumił Samuel Linde, dla bibliografii polskiej rodzina Estreicherów, dla muzyki Jerzy Elsner (nauczyciel Chopina), był wyznaniowym „cudzoziemcem”, „innym”, „obcym” – ewangelikiem. Aktywnym działaczem parafii ewangelicko-augsburskiej Świętej Trójcy w Warszawie. W latach 1898-1901 Prezesem Kolegium Kościelnego.

Oczywiście w przypadku mojego ojca (wnuka Ludomira) to była całkiem inna sytuacja. Żeby zostać ewangelikiem-metodystą, musiał dokonać konwersji, wystąpić z kościoła rzymsko-katolickiego, dokonać aktu apostazji, i ślad tego, odpowiedni wpis znajduje się w dokumentach jego parafii zwierzynieckiej, w krakowskim kościele Norbertanek, blisko Salwatora. Często pytywałem matkę, która była katoliczką, jak przyjęły tę zmianę wyznania ich rodziny, czy nie były temu przeciwne, czy nie wywołało to wtedy poruszenia, nie było dla nich szokiem. Matka, której rodzice zmarli w 40. roku, jeszcze przed jej ślubem, zawsze podkreślała, że rodzina ojca podeszła do tego całkiem spokojnie i była bardziej otwarta aniżeli jej katolickie ciotki, które demonstrowały swoje niezadowolenie, trochę spazmowały, zanosilo się nawet na ostracyzm, ale w końcu się z tym pogodziły. Jak mi opowiadała matka, w przypadku rodziny i rodziców ojca nie bez znaczenia była postawa ks. Ferdynanda Machaya, cieszącego się wielkim autorytetem i znanego w Krakowie, wtedy proboszcza zwierzynieckiej parafii na Salwatorze, później związanego z kościołem Mariackim, który jakoś ich do tego przygotował. I, jak mówiła mi matka, zawsze okazywał swoją serdeczność wobec młodych małżonków. Nie bez znaczenia może był i fakt, – o czym dowiedziałem się już znacznie później – że matka ojca, babcia Klotylda, pochodząca z Sambora miała w rodzinie greko-katolickich duchownych, czy nawet, tego już nie jestem pewien, czy nie prawosławnych popów i władyków.

Dla mnie, ten „ekumeniczny” charakter mojej rodziny (biorąc pod uwagę przypadek mojej matki, obecności w jej rodzinie tradycji dwu różnych wyznań, w których się wychowała) był zresztą czymś bliskim, naturalnym, doświadczanym niemal, na co dzień. Zważywszy przecież jeszcze i na to, że syn córki Ludomira, powstańca – Wandy – ks. Bogdan Kolinek, „wuj Bogdan”, kuzyn ojca, (związany także pod koniec swego życia z kościołem Mariackim, i ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego”), który przyjeżdżał do nas z Krakowa (dla dzieci zawsze z licznymi prezentami, który wtrącał, wykrzykując często dla za-

znaczenia wagi spraw, o których mówił, bądź, aby dać wyraz swemu oburzeniu, czy zdziwieniu słowa: „Panie święty...!”) – był katolickim księdzem. Od niego dostałem zdjęcia pradziadka Ludomira utrwalone na szklanych kliszach.

Pamiętam, także, jak odwiedzałem w Krakowie właśnie tę córkę Ludomira, ciotkę Wandę Benedyktowicz-Kolinek, (matkę „wuja-księdza”), która żyła jeszcze w latach osiemdziesiątych. Było to w stanie wojennym w 1982, 83 roku. Dojeżdżałem do Krakowa na zajęcia, które prowadziłem w Katedrze Etnografii UJ, mieściła się na ul. Grodzkiej, koło kościoła św. Piotra i Pawła. Wiedząc wtedy już więcej o Ludomirze, inaczej już wtedy patrzyłem przechodząc przez plac Dominikański na dom, o którym już wiedziałem, że znajdowała się w nim kiedyś jego pracownia, i na ulubioną mojej babci Klotyldy kawiarnię „Sportową”, która istniała jeszcze w tamtych latach w domu znajdującym się na rogu Grodzkiej, *vis a vis*. Łapię się na tym, że i teraz, ilekroć jestem w Krakowie i zdarza mi się, że gdy tamtędy idę – robię to samo. Zaglądam w tamte okna, także i kawiarni „Sportowej”, mimo, że już dawno tam jej nie ma, a na jej miejscu znajduje się skądinąd pożyteczny, otwarty przez całą noc Kebab.

Ciotka Wanda mieszkała na ul. Pstrowskiego (nie wiem, nie sprawdzałem czy nazwa tej ulicy zachowała się jeszcze). Była już w bardzo podeszłym wieku, częściowo sparaliżowana, na wózku, niedowidząca. Opiekowała się nią jej córka, „ciotka Jadźka”. Wykorzystywałem te dojazdy, żeby podać jakąś żywnościową pomoc, jakże potrzebną wszystkim w tamtych latach. Korzystałem z tego, że nasi ewangeliccy konfratry, bracia i siostry z Niemiec i zachodniej Europy przysyłali taką pomoc do zboru na plac Zbawiciela, więc służyła ona nie tylko metodystom, „szła” dalej, przekazywana dla znajomych i nieznajomych rodzin internowanych i aresztowanych, do osób potrzebujących takiej pomocy, pochodzących z różnych środowisk (któż wtedy jej nie potrzebował, niejedno – trzydziestoletnie już dziś dziecko – ze studenckich, mieszkających wówczas w akademikach, czy innych młodych rodzin, urodzone w tych rocznikach, w tym i nasza córka Joanna – wychowało się na pochodzącej z tej pomocy odżywe, mleku w proszku dla niemowląt szwajcarskiej firmy o egzotycznie brzmiącej wtedy nazwie: „Nestlé Beba 2”).

Pamiętam, zatem, że podczas jednej z takich wizyt na Pstrowskiego, ciotka Wanda, która mimo podeszłego wieku i trapiących ją dolegliwości zachowała bardzo żywy, bystry umysł, energicznie ostrzegała, przeceniając zresztą mnie chyba: „Pamiętaj, bądź ostrożny! Jeśli się w coś angażujesz. Jeżeli masz coś niebezpiecznego, jakąś «bibułę», jakieś papiery, czy cokolwiek, nie trzymaj na Boga tego u siebie, daj to nam tutaj, u nas będzie bezpieczne, przechowamy,

nam i tak nic więcej już nie mogą zrobić. Pamiętaj bądź ostrożny, Rosjanie są strasznie pamiętliwi, wiesz przecież, co spotkało mojego ojca, i to po ilu latach! Kiedy go aresztowali i zamknęli w cytadeli. Rosjanie są strasznie pamiętliwi, nie darują, wszystko pamiętają.”

Z takich właśnie rozmów, spotkań, zdarzeń, fragmentów powstawał i budował się obraz mojego pradziadka, który w sobie noszę. Dowiadywałem się o nim więcej od innych, dzięki innym, którzy byli mu bliscy, znali go, spotkali, dając potem świadectwo o tym, czy też od tych, którzy trafili na jakąś wzmiankę o nim.

Tak było na przykład, gdy zacząłem pracować (w latach osiemdziesiątych, po Solidarności, była to moja pierwsza stała praca) w Instytucie Sztuki, gdzie do dziś pracuję, kierujący wówczas Zakładem Filmu dr Rafał Marszałek, doskonały szachista, zapytywał czy mam coś wspólnego z Ludomirem, czy o tym wiedziałem, że Ludomir był wytrawnym znawcą szachów i graczem, założycielem i prezesem klubu szachistów Krakowie. A z panią profesor Haliną Stępień, która przygotowywała wówczas i pisała swoją monografię o „monachijczykach”, wydaną później w trzech znaczących tomach², spotykając się w Instytucie na korytarzu niejedne pół godziny – „po drodze” – przegadaliśmy o pradziadku. Służąc jej swoimi kserokopiami przywiezionymi z Monachium, czy fotografiami na szklanych kliszach, w poczuciu dumy, że robię to tak samo, jak wuj Janusz i ojciec, którzy dzieląc się swymi archiwami i swoją wiedzą na temat pradziadka spotykali się z panią profesor na konsultacjach, nawet nie miałem pojęcia (nie byłem historykiem sztuki), na jaką śmieszność się narażałem wręczając między innymi przywiezioną z biblioteki Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, wykonaną tam kserokopię hasła o Ludomirze zamieszczonego w leksykonie *Kunsthistorisches Thie-me Becker Lexikon*, wydanym jeszcze na przełomie XIX i XX wieku gotykiem, który pewnie stał na półce w bibliotece Instytutu i w paru jeszcze innych bibliotekach w Polsce.

Cóż jeszcze mógłbym dodać? Muszę zaznaczyć, że ten „mój obraz” Ludomira jest zaledwie częścią tego, który istniał i istnieje w potomkach czworga jego dzieci. W rodzinie Heczków, pochodzącej z żeńskiej linii – od córki Ludomira Janiny – rozproszonej między Krakowem i Kanadą (w Krakowie mieszka Krzysztof Włodarski/Heczko/), czy lwowskiej, z której pamiętam innego nieżyjącego już kuzyna ojca, który odwiedzał nas w Warszawie – „wują Andrzeja”, architekta, (był naczelnym architektem w uzdrowisku Szczawnickim), jego opowieści, niemal wykłady, jakie snuł podczas rozmów domowych, zwłaszcza wtedy w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych miały ożywczy charakter, gdy rozprawiał o stawianych wówczas a niszczą-

cych krajobraz w Polsce, domach – bunkrach, nawet tych jednorodzinnych, prywatnych, obliczonych na to, że mają trwać na długie lata, których nic nie zniszczy i nie pokona, przeciwstawiając im ideę domu „lekkiego”, domu nomadycznego, domu – namiotu, do której powinna zmierzać, jego zdaniem, ludzkość w przyszłości, zgodnie z tendencją rosnącego wciąż przemieszczania się ludzi.

Częstokroć też, gdy rozmawiam o Ludomirze, lub tak jak teraz, że o nim opowiadam, nieodmiennie pojawia się pytanie czy ktoś w rodzinie Benedyktowiczów kontynuował, kontynuuje jego pasję malarską. Tak, – córka Wanda, o której była mowa, wspomniany, nieżyjący już wuj Janusz związany z Krakowską ASP, jego najstarszy syn Mirosław, który uczy w Państwowym Zespole Szkół Plastycznych i aktywnie działa w Polskim Stowarzyszeniu Edukacji Plastycznej w Kielcach. I nasz warszawski, najstarszy brat Miłosz, który studiował w Warszawskiej ASP. W 1979 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych. W latach osiemdziesiątych uprawiając malarstwo, realizując własne wystawy i projekty był bliskim współpracownikiem Zbigniewa Rybczyńskiego – laureata nagrody Oscara w dziedzinie filmu i animacji filmowej. Zmarł przedwcześnie, w wieku 47 lat, w 1992 roku w Nowym Jorku.³

Zmierzając do końca, co jak państwo pewnie zauważyli, starałem się robić już od dłuższego czasu, wplatając podziękowania w tę wypowiedź, chciałbym przejść już tylko do nich. Myślę, że pamięć o Ludomirze Benedyktowiczu jest w dobrych rękach. I za to szczególnie chciałbym podziękować panu Jackowi Frankowskiemu, urodzonemu w Broku, reprezentującemu tu środowisko leśników, który jako doradca Dyrektora Generalnego Lasów Państwowych do spraw sztuki zrobił i robi tak wiele dla zachowania tej pamięci; podejmuje nadal rozmaite inicjatywy (jeździ do Lwowa, gdzie prowadzi kwerendy, zbiera materiały do dokumentacji twórczości Ludomira, pracuje nad przygotowaniem swojego filmu o nim), a za jego pośrednictwem dziękuję też wszystkim osobom, które przyczyniły się do zorganizowania w tym roku (2011) poświęconej mojemu pradziadkowi wystawy w Ośrodku Kultury Leśnej w Gołuchowie: *Z twórczości Ludomira Benedyktowicza (1844-1926) artysty, leśnika*⁴ Dziękuję Autorowi scenariusza i komisarzowi tej wystawy – panu Konradowi Bulowi, na której obraz prezentowany dzisiaj był pokazywany. Jeszcze raz chciałbym serdecznie podziękować pani Joannie Szczepkowskiej, panu Tomaszowi Pruszkowskiemu, aktorom Studia Teatralnego: Waldemarowi Chachólskiemu, Kacprowi Pietraszewskiemu, muzykom z zespołu *Janusz Prusinowski Trio* – Januszowi Prusinowskiemu, Piotrowi Piszczatowskiemu, Michałowi Żakowi i Piotrowi Zgorzelskiemu za ich muzykę i wyśpiewane tutaj *Serce*...⁵



Ludomir Benedyktowicz, *Las*. Obraz ze zbiorów Bogusława Bobuli

Na sam koniec zostawiam specjalne i szczególnie podziękowania dla Piotra Borowskiego – dziękuję Ci Piotrze, za Twoją cierpliwość i upór, za to, że się cierpliwie upierałeś, żeby ten obraz tu pokazać. Ja byłem sceptyczny, wiedząc, że publikując na łamach „Kontekstów” dokumentację z tych niezwykłych spotkań z obrazami, jakie prowadzisz tu u siebie na Lubelskiej i obawiając się tego, że kiedyś, kiedy przyjdzie pora i na ten odcinek, i ukaże się on w piśmie, które redaguję, będzie mogło to być poczytywane mi za nepotyzm, do końca miałem, więc nadzieję, myślałem, że to jakoś mi się upiecze, że da się to zastąpić jakimś innym obrazem. Dlatego dziękuję Ci za ten upór, bo teraz już widzę, że kiedy się on ukaże będzie to rok 2013. Dziękuję Ci, więc i za to, że i o tym pomyślałeś: – że będzie to nasz wspólny trybut dla uczczenia i upamiętnienia obchodzonej w tym roku 150 rocznicy Powstania Styczniowego.

Dziękuję Ci w ogóle, Piotrze, za ten Twój pomysł „Historii jednego obrazu”, w której możemy brać udział i życzę Ci, by Twoja działalność rozwijała się i trwała tutaj dalej. A jak znakomitym reżyserem tych spotkań jest Piotr – bo także i dzisiaj do głosu dojdą jeszcze te tajemnicze, niezaplanowane wcześniej, tajemne związki, jakie zachodzą i ujawniają się pomiędzy ludźmi i obrazami na tych spotkaniach – to zaraz państwo zobaczą. W moim przypadku, należą do nich te, które pojawiły się, począwszy już od pierwszego: Żeromski, który mieszkał u mojego pradziadka w Krakowie, a o którym wcześniej opowiadała Magdalena Kraszewska, prezentując pejzaż Witkacego i mówiła o związkach swego dziadka Dr Kraszewskiego z Żeromskim w Zakopanem. Potem – Wankie, o którym opowiadała pani Joanna Wolfram – przez postać Gersona i ten motyw Monachium, ewangelików w Warszawie, protestanckich (holenderskich) młynów mielących na warszawskim Młynowie i cmentarza ewangelickiego na Młynarskiej; za chwilę pojawi się jeszcze jeden. Będą państwo mogli go zobaczyć. Otóż okazało się, że pan Bogusław Bobula, który tu opowiadał o rodzinie Dżyżgów i Szlenkierów, i prezentował obraz Luki Giordano, znajdujący się w jego rodzinnych zbiorach, ma w nich także obraz Ludomira Benedyktowicza, może nawet bardziej dla niego typowy, na którym dobrze widać tę snycerską i koronkową zarazem, tak charakterystyczną dla Ludomira robotę: „miedziane kute kowalską robotą, sosny czy białe brzozy obciążone tkackim zabiegiem” – jak pisał Terlecki o malowanych przez niego drzewach – studium drzew, obraz lasu.

Dziękuję bardzo panu Bogusławowi Bobuli za wypożyczenie tego obrazu, że możemy go dzisiaj tutaj zobaczyć. Że mogliśmy w ten sposób po raz pierwszy w „Historię jednego obrazu” tworzoną przez Piotra Borowskiego i pisaną tu na Lubelskiej, wpisać także i to

dzisiejsze – nawet nie wiem, czy w ogóle widziały się one i spotykały ze sobą przedtem, wcześniej – spotkanie dwu obrazów.

Dziękuję Państwu bardzo, że przyszlście na to spotkanie.

Przypisy

- ¹ Cyt za: Leopold Grzegorek, *Ludomir Benedyktowicz – syn ziemi podlaskiej*, w: *Ludomir Benedyktowicz 1844-1926, powstaniec podlaski 1863 r. – malarz bez rąk*. Muzeum Okręgowe w Siedlcach, Siedlce 1979, s. 6
- ² Stępień H., *Artyści polscy w środowisku monachijskim w latach 1828-1855*, *Studia z historii sztuki*, red. W. Juszcak, J. Kowalczyk, T. Mroczo, J. Pietrusiński, t. 44, Wrocław 1990. *Artyści polscy w środowisku monachijskim w latach 1856- 1914*, Warszawa 2003. Stępień H., Liczbińska M., *Artyści polscy w środowisku monachijskim w latach 1828-1914. Materiały źródłowe*, [w:] *Studia z historii sztuki*, red. W. Juszcak, J. Kowalczyk, J. Pietrusiński, t. 47, Warszawa 1994.
- ³ patrz: katalog *Miłosz Benedyktowicz (1945-1992)*, wyd. Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie, Muzeum ASP i Galeria 3A, ASP w Warszawie, Warszawa 1994 red. Zbigniew Benedyktowicz i Maryla Sitkowska towarzyszący wystawie pośmiertnej malarstwa i scenografii Miłosza Benedyktowicza, autora scenografii do filmów Rybickiego. Wystawa zorganizowana przez Muzeum Akademii Sztuk Pięknych i Galerię 3A, ASP w Warszawie grudzień 1994 – styczeń 1995, prezentowana była również w Muzeum im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy i w Muzeum Historii Fotografii w Krakowie oraz w Konsulacie RP w Nowym Jorku w 1995 roku.
- ⁴ Wystawa: *Z twórczości Ludomira Benedyktowicza (1844-1926) artysty, leśnika*, Ośrodek Kultury Leśnej w Goluchowie, 15 kwietnia – 30 maja 2011 roku. Projekt katalogu: Konrad Bul, Scenariusz wystawy, Komisarz wystawy: Konrad Bul, Aranżacja wystawy: Rafał Walendowski. Warto w tym kontekście wskazać i na inne wydawnictwa i wystawy, na których ostatnio pojawiały się obrazy Ludomira Benedyktowicza: *Pejzaż malarzy polskich ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki*. Katalog wystawy. Druk Bernardinum, Pelplin 2004; Katalog wystawy *Malarze polscy w Monachium („I po co myśmy tam jechali”)*. Opracowanie: Eliza Ptaszyńska, Zbigniew Fałtynowicz, Muzeum Okręgowe w Suwałkach, 2005; Aleksandra Krypczyk *NASTROJE NATURY. Pejzaż w twórczości polskich monachijszczyków w II połowie XIX wieku*. Katalog wystawy w Muzeum Historii Katowic 8 maja – 31 lipca 2006 roku. Katowice 2006; Igor Chomyn, *150 arcydzieł malarstwa polskiego ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki*. Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie. Wydawnictwo Bernardinum w Pelplinie, 2006.
- ⁵ Serce... można usłyszeć i dostępne jest na stronie: <http://www.youtube.com/watch?v=eRjtbuilGdc>. (dostęp 10 marca 2011). Patrz też: <http://www.januszprusinowskitrio.pl/>; <http://www.facebook.com/prusinowskitrio>; <http://www.myspace.com/januszprusinow...> – oraz festiwal Wszystkie Mazurki Świata: <http://www.festival-mazurki.pl/>



Spotkanie na Lubelskiej Historia Jednego Obrazu. Ludomir Benedyktowicz, 17 grudnia 2011.

Od góry: Zbigniew Benedyktowicz.

Waldemar Chachólski i Kacper Pietraszewski czytają teksty i przygotowują mikrofon dla Joanny Szczepkowskiej.